

Rok

Już tylko najstarsi ludzie pamiętali ten rok.

Odchodził w szereg lat, które niepostrzeżenie, rok po roku, pogrzeb po pogrzebie, z krainy żyjących przechodzą na cmentarzysko czasu, obleczone w patynę Historii. Miejsce, w którym ulegają najdziwniejszym przekształceniom, wypaczeniom, wyolbrzymieniom i umniejszeniom. Niektóre lata, nieciekawe z punktu widzenia historyków, zostają zlepione w całe dekady i funkcjonują już tylko jako pobieżne określenia czasu, zręczny unik, zgrabny chwyt, dzięki któremu brak znajomości dokładnej daty wydaje się być błahostką przy tak erudycyjnym nakreśleniu kontekstu kulturowego: stają się latami 60., 20. i 90.

Inne znowu, przeciwnie, zostają na zawsze oddzielone od swoich jakże bliskich przecież braci i sióstr – lat sąsiednich, zostają wyniesione na samotny piedestał, na którym odziera się ich z wszystkiego poza jednym przełomowym wydarzeniem, które ma stanowić odtąd całą ich tożsamość. Na przykład: rok 476. Chociaż dla wielu był tylko odcinkiem czasu na continuum życia, okresem mniej lub bardziej nieszczęśliwym, to on utrwalił się na zawsze, przetrwał we wspólnej pamięci. Więcej, osiągnął coś, o czym mogły tylko śnić w najśmielszych marzeniach tysiące lat, które śledziły dzieje człowieka: został ogłoszony cezurą, arbitralnym końcem jednej epoki i początkiem kolejnej. Jego wszystkie nikczemności, bohaterstwa, zdrady, nieodwzajemnione uczucia i odwzajemnione ciosy opadły miękko w głuchą ciszę niepamięci. Ale jedno jedyne wydarzenie zapewniło mu wieczne miejsce w panteonie podręcznikowych dat i o wiele bardziej ulotne, ale za to powtarzalne, miejsce w pamięci wszystkich uczniów świata. (Pełnię jego satysfakcji uwydatniał fakt, że kolejny taki rok nie tylko oddalony był o całe długie dziesięć wieków, ale jego następcy musieli podzielić między siebie podium Dat Końca Średniowiecza, niestrudzenie walcząc o zwolenników podczas jałowych dyskusji nad wyższością którejś z nich.)

Rok 2020 zdecydowanie wpisał się w drugą kategorię lat. Nie dzielił swych opracowań z żadną dekadą ani stuleciem. Może dlatego, że szkoda byłoby zmarnować tak piękną, wprost poetycką w prostocie swojej formy liczbę (która zdarza się raz na tysiąc lat, a której potencjału zdecydowanie nie wykorzystał rok 1010).

Człowiek porusza się między dwoma kalendarzami: kalendarzem historii i swoim prywatnym kalendarzem, którego pierwsza zerwana kartka nosi datę, którą potem do znużenia (a nawet do śmierci) każą mu powtarzać wszystkie urzędy świata, zupełnie jakby naprawdę mówiła coś o człowieku, który został z nią nierozzerwalnie złączony za sprawą zwykłego przypadku. Jeśli akurat zostanie sławny, wybawić może go od niej jedynie data śmierci (w zależności od tego, która pora roku bardziej będzie nadawała się na jubileuszowe pikniki). Ludzie żyjący są dosyć interesująco niefrasobliwi w kwestii świętowania śmierci, im dalej ta się od nich znajduje. O ile wspomnienie w dniu samobójstwa poety wyklętego z czasów niedawno minionych wywołuje jeszcze automatyczną refleksję nad ciężką dolą artysty, o tyle 200. rocznica śmierci dżentelmena z czarno-białego portretu nie wzbudza już niczyjego żalu.

W kalendarzu prywatnym, którego pierwsza i ostatnia kartka są z pewnością wycięte z kolorowego fluorescencyjnego papieru, żeby nieszczęsny właściciel ich nie przeoczył, ważne daty wyznaczone są ze zdumiewającą nieregularnością. Przewidywalnie znajdują się tam co prawda zazwyczaj kolejne urodziny, szkoły czy Pierwsza Komunia, ale w ten szablon życiorysu powytłakane są tu i ówdzie indywidualne gromy i olśnienia. Śmierć ojca. Pierwszy samotny wyjazd w góry. Oddech ulgi po zdanej maturze, pachnący kasztanami i zieloną majową nadzieją. Ulotny moment utraty młodości. Dzień, w którym nic się nie stało, lecz nagle uświadomiono sobie, że życie nie miało i nigdy mieć nie będzie sensu, a to nagle i bezwartościowe w gruncie rzeczy odkrycie zatrzymuje na chwilę bicie serca.

Kalendarz historii przepisuje na swoje karty przełomowe momenty z prywatnych kalendarzy wybrańców, których ludzkość bardziej lub mniej zgodnie postanowiła uznać za swoich przedstawicieli. Lecz i odwrotnie, prywatne kalendarze, choć zazwyczaj z niechęcią, bywają zmuszane do wpisywania na swoje karty dat, które należeć powinny jedynie do kalendarza historii.

Rok 2020, pomimo imponującej konkurencji w postaci chociażby niezliczonego szeregu dat wyznaczających początek i koniec wojen, był dosyć niezwykły w swym zasięgu i przeobrażającej, paraliżującej mocy panowania nad kalendarzami: prywatnymi, krajowymi, światowymi i dziejowymi. Chociaż poszczególne detale zajmowały różne miejsca w przeróżnych kalendarzach, jakby nieśmiało pragnąc zaznaczyć swoją niezależność (pierwszy przypadek w Singapurze, pierwsza śmierć w Brazylii, dzień, w którym umarło we Włoszech ponad 900 osób), już z perspektywy kilku lat widziało się daremność tych wysiłków, które nie obroniły suwerenności chwil od tyranii roku. Nie można było nic poradzić na to, że 2020 rok dla każdego obywatela świata stał się rokiem szczególnym – w którym życie dla niego zatrzymało się, rozpadło, przyspieszyło, roztrzaskało, albo, w najlepszym wypadku, nagle znalazło się za przydymioną szybką odrealnienia.

Nie na tym kończą się zasługi tej pięknej, litościwie łatwej do zapamiętania daty. Bowiem rok 2020, szybko, sprawnie i nieodwracalnie, zmienił myślenie, sparaliżował chęci i zatrzymał plany. Zaszczepił w obywatelach rodzaj nieustępliwej podejrzliwości, która sprawiała, że woleli przejść na drugą stronę ulicy, odwrócić głowę i zastąpić uścisk ręki na znak pokoju powściągliwym skinieniem głowy.

- Czy pamiętam rok 2020...? – siatki zmarszczek wokół oczu kobiety układają się w ten niepowtarzalny wzór, który sygnalizuje zarazem uśmiech, tęsknotę i przemyślany, przeżyty wielokrotnie smutek – kombinację, która pojawia się nie wcześniej niż pierwsze siwe włosy.

- Miałam pisać maturę w roku 2020... A po maturze wyjechać w Bieszczady.

Słowa rezonują w ciszy, przywodzą na myśl niedoszte ciągi wydarzeń, niespotkanych ludzi, nieschodzone szklaki, niezjedzone lody. W gorącym słońcu popołudnia tka się scenariusz dni, miesięcy i lat, unieważniony i przecięty dawno, dawno temu, nitki nieziszczonych przeżyć pokrywa pajęczyna czasu.

Kobieta uśmiecha się, ciepły wiosenny wiatr głaszcze drzewa, których obrysy odcinają się na tle jasnego nieba.

- Ale przecież życie toczyło się dalej.